

# Jak talibowie przechwytują pomoc międzynarodową dla Afganistanu

17 września 2010

Hadżdżi Mohammad Szach miał niefart. W zeszłym roku w okolicach Kunduzu na północy Afganistanu zaczął budować drogę. Długa na 25 km, miała pozwolić chłopom na dostawy produktów na targ w stolicy okręgu Szahar Dara. Projekt kosztował równowartość 63 600 euro, które dostarczył Azjatycki Bank Rozwoju. Gdy tylko zaczęły się roboty drogowe, przyszedł talib i zażądał od okręgowej rady starców, która była zleceniodawcą, uiszczenia podatku. Rada uiściła równowartość 13 900 euro, aby zapobiec zniszczeniu drogi jeszcze zanim ją zbudowano. Następnie przyszedł drugi talib i rada znów uiściła podatek. Trzeciemu wyjaśniła, że nie ma więcej pieniędzy. Rezultat: pewnego dnia w marcu br. po przerwie obiadowej spędzonej w mieście Szach wrócił na miejsce robót, a tam zastał robotników pod strażą uzbrojonych mężczyzn, którzy trzymali ich w charakterze zakładników, oraz 10 spalonych maszyn. Poniósł straty na równowartość 176 tys. euro. Do dziś ugania się za odszkodowaniem.

Mohammad Omar, gubernator Kunduzu, waha się, czym to wyjaśnić: nie wie, czy rada starców za mało zapłaciła, czy też zapłaciła nie temu, komu trzeba. Podsumowuje sytuację w sposób fatalistyczny: „Talibowie robią tu co im się podoba. Zabijają, torturują, wymuszają haracze – co tylko zechcą.” Omar zna rozmiary systemu wymuszeń, który stworzył jego odpowiednik z ramienia talibów – „podziemny gubernator” Kunduzu. Ściąga on haracze niemal ze wszystkiego, co buduje się w regionie – dróg, szkół, przychodni... Im bardziej „odbudowuje się” Afganistan, tym bogatsi stają się talibowie.

Na pytanie, „co nabija kabzy mułły Omara”, przywódcy talibów,

w odpowiedzi często słyzy się jedno słowo: opium. Tymczasem, zgodnie ze sprawozdaniem Biura Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Kontroli Narkotyków i Zwalczania Przestępczości opublikowanym pod koniec 2009 r. [1], dochody talibów tylko w 10-15% pochodzą z podatków ściąganych z produkcji i przemytu opium.

„Pieniądze ściągają się głównie na szczeblu lokalnym”, potwierdza Kirk Meyer, kierownik komórki Afghan Threat Finance Cell w ambasadzie amerykańskiej w Kabulu. „Nie wiemy, w jakiej mierze zyski czerpane z opium w Helmandzie podlegają redystrybucji w najuboższych prowincjach.” Helmand to prowincja w południowo-zachodnim Afganistanie, w której uprawia się wielkie ilości opium. „Gdzie indziej talibowie żyją z darowizn podstawionych organizacji pozarządowych, uprowadzeń, kontrabandy drewna cedrowego i minerałów chromu na granicy pakistańskiej...”

## **PARTYZANCI CZY OCHRONIARZE?**

32-letni Adbul Kader Modżaddedi jest inżynierem. To bratanek Sibghatullaha Modżaddediego, obecnego przewodniczącego Senatu i pierwszego prezydenta republiki po upadku reżimu komunistycznego w 1992 r. U podnóża gór w prowincji Laghman buduje zaledwie 7-kilometrową drogę. Maszyn pilnują oczywiście strażnicy. Zdumiewający szczegół – połowa z nich nosi mundury, a połowa tradycyjne tuniki i brody. Dlaczego? Tę drugą połowę przysłali mu lokalni przywódcy talibów, którym za cały okres trwania robót drogowych zapłacił równowartość 52 tys. euro. „To niedużo!” – zapewnia uśmiechnięty. „Gdybym miał opłacić stu strażników, kosztowałoby mnie to 16 tys. euro miesięcznie. Talibom płacę 8 tys. i roboty są bezpieczne.” Modżaddedi padł ofiarą 4 czy 5 ataków, lecz od 6 miesięcy panuje spokój. Gubernator prowincji jest wniebowzięty. Amerykanie, finansujący budowę drogi za pośrednictwem Provincial Reconstruction Team – programu wojskowego, którego celem jest „podbijanie serc i umysłów” – przytykają na to oko.

Te małe roboty drogowe w Laghman to nie jest odosobniony przypadek. Wali Mohammad Rasuli, były wiceminister robót publicznych, od 4 miesięcy na emeryturze, broni tego systemu. „Dwukrotnie, przez ponad dwie godziny, rozmawiałem o tym z prezydentem Hamidem Karzajem. Gdy skończymy budować drogi, cyrkulacja i handel automatycznie spowodują wzrost bezpieczeństwa. Płacimy talibom, trzeba skończyć z tą obłudą!” Dla urzędującego ministra, podobnie jak dla wszystkich darczyńców międzynarodowych, o żadnej takiej hipotezie nie może być mowy. Urzędowa linia brzmi: nic nie płacimy powstańcom.

Ściągają oni haracz głównie z wojskowych amerykańskich, a ściślej ich podwykonawców. Co miesiąc 6-8 tys. konwojów zaopatruje ok. 200 baz w sprzęt i materiały potrzebne do prowadzenia wojny: amunicję, benzynę, materiały biurowe, papier toaletowy, telewizory... [2]. W prawie 100% konwoje ubezpieczone są przez prywatne towarzystwa, w ramach kontraktu opiewającego na 2,16 mld dolarów (1,6 mld euro, czyli 16,6% afgańskiego PKB w 2009 r.). Tak wynika z kontraktu na usługi Host Nation Trucking podpisanego w marcu 2009 r. Urzędnik Międzynarodowych Sił Wsparcia Bezpieczeństwa (ISAF) w Afganistanie komentuje: „Nie wiemy, jak sobie radzą podwykonawcy, czy płacą talibom za bezpieczne przejazdy. (...) Ładujemy w to miliardy i jest rzeczą możliwą, że miliony lądują w rękach powstańców.”

Zarghuna Walizada to jedyna kobieta kierująca spółką przewozową w Afganistanie. Przyjmuje mnie bez zasłony w biurze umeblowanym w stylu lat 70. Wie, pod jaką presją pracują Amerykanie i o tym, że nie wypłacają odszkodowań z tytułu ataków na jadące ciężarówki. „Komu trzeba płacić? Policji, talibom? To nie ma znaczenia. Ważne, aby ciężarówki przejechały.” Zdarza się, że jadą bez eskorty: „Po co nam ona? Bezpieczeństwo zapewniają talibowie.”

„Oczywiście, płacimy talibom”, przyznaje Ahmad Nawid, szef najważniejszego związku przewoźników drogowych. „Na Boga,

proszę mi wierzyć, to zwykły haracz. Niektóre firmy ochroniarskie żądają po 2 tys. dolarów za każdy kontener przewożony na trasie liczącej zaledwie kilkaset kilometrów. Połowa takiej sumy może trafiać w ręce talibów.”

Jak negocjuje się przejazd? Rzecz jasna, nie bezpośrednio. „Mój szef nie byłby zadowolony, gdybym poszedł rokować w cztery oczy z przywódcami plemiennymi Helmandu”, rzuca Juan Diego Gonzáles, były wojskowy amerykański, a obecnie właściciel prywatnej afgańskiej firmy ochroniarskiej White Eagle. „Mamy pośredników, którzy w skali lokalnej werbują naszych strażników. (...) Czasem konwojem kieruje sam przywódca plemienny lub jego syn, a my po prostu mamy nadzieję, że oni nie są zbyt blisko związani z talibami.” Mówi, że pracuje na drogach, na których równowaga władz jest ulotna: żaden watażka – bo to oni, po angielsku zwani warlordami, a nie rząd centralny, faktycznie rządzą w terenie – sam nie potrafi zapewnić bezpiecznego przejazdu. Ma więc pewne pole manewru – może dobrać sobie partnerów. Jeden z afgańskich kierowników prywatnej spółki TacForce z siedzibą w Australii informuje, że są również takie drogi, po których nie można poruszać się samemu, bo człowiek naraża się na poważne kłopoty. „Jeśli nie ma zezwolenia wydanego przez miejscowego watażkę, czeka go śmierć.” Twierdzi, że TacForce stosuje się do zaleceń afgańskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pozwalających ustalić, na których watażkach kontrolujących określone odcinki drogi „można polegać”.

## **WATAŻKOWIE WRACAJĄ DO WŁADZY**

Obecnie najpotężniejszy z nich nazywa się Ruhullah. Około 40-letni, nigdy nie spotkał się z żadnym oficerem armii amerykańskiej. Ubrany w szalwar kamiz – tradycyjne szarawary i długą luźną koszulę – nosi rolexa, mówi dziwnym dyszkantem i kontroluje większość autostrady nr 1 prowadzącej z Kabulu przez Kandahar na pasztuńskie południe. Ruhullah ma za współników braci Popal, kuzynów prezydenta Karazja, skazanych w latach 90. za przemyt heroiny do Stanów Zjednoczonych.

Obecnie są oni właścicielami Watan Group, do której należy firma ochroniarska Watan Risk Management. Na tej autostradzie typowy konwój to 300 ciężarówek, którym towarzyszy 400-500 prywatnych ochroniarzy. Przewóz jednego kontenera do Kandaharu może kosztować do 1200 euro. Według niedawnego sprawozdania amerykańskiej Izby Reprezentantów [3], watażka kontrolujący autostradę i jego anglojęzyczni wspólnicy zgarniają „kilkadziesiąt milionów dolarów rocznie” z tytułu eskortowania konwojów amerykańskich. Podobnie jak bracia Popal, Ruhullah stanowczo zaprzecza, że płaci talibom tam, gdzie na siłę nie można się przebić. Mówi, że w ubiegłym roku stracił 450 ludzi.

Liczne towarzystwa ubezpieczeniowe i firmy przewozowe wielokrotnie skarżyły się na straty finansowe spowodowane systematycznym odwoływaniem się do lokalnych watażków i nieumiejętnością rozwiązania tego problemu przez armię amerykańską.

Talibowie nie zarabiają jednak tylko za pomocą karabinów. Czynią to również za pośrednictwem operatywnych, dyskretnych bankierów, którzy przekazują im pokaźne dary pochodzące z nad Zatoki Arabsko-Perskiej. Docierają one przez Dubaj i Pakistan. Kluczowy punkt to targ walutowy w Kabulu: trzypiętrowe galerie wychodzące na podwórze, drewniane stoliki rozstawione wprost na ziemi, paczki dolarów, rupii, juanów – i tłum na miarę paryskich Hal, gdy święciły one triumfy. Z badań przeprowadzonych przez Afghan Threat Finance Cell wynika, że 96% Afgańczyków woli takie targi niż okienka w bankach. Wystarczy wejść do jednego spośród setki czynnych tu biur pośredników zwanych hawala: małe kantory nie mające nic wspólnego z rozmiarami uprawianego w nich handlu, w każdym z pół tuzina pracowników rozwalonych na skórzanych kanapach co wieczór przepuszcza dzienne utargi przez liczarki banknotów. Takie siatki, których początków należy szukać w VIII w., pozwalają obsługującym je agentom bankowym w ciągu kilku godzin, za minimalną prowizję, dostarczyć setki tysięcy euro na drugi koniec planety. Zdaniem Hadżdżiego Nadżibullaha

Achtariego, szefa lokalnego związku pośredników, codziennie obraca się tu równowartością ok. 4 mln euro. System polega na zaufaniu: każdy zna swoich klientów lub ich poręczycieli.

Od 2004 r. państwo stara się zarejestrować tych agentów hawali i co miesiąc dysponować szczegółami dokonywanych przez nich transakcji. Achtari, siedząc pod telewizorem, w którym leci amerykańska kreskówka Tom i Jerry, przypomina, że „kręcą się tu codziennie dziesiątki agentów wywiadu” i zaglądają w księgowość. Natomiast, z powodu braku bezpieczeństwa, dla inspektorów niedostępny jest niezwykle ruchliwy targ walutowy w Kandaharze. Tymczasem właśnie przez system hawała przepływa znaczna część środków finansowych, którymi dysponują talibowie.

Komórka wywiadu finansowego afgańskiego banku centralnego zarejestrowała, że od stycznia 2007 r. w walucie saudyjskiej wpłynęło do kraju 1,3 mld dolarów. Mustafa Masudi, młody kierownik komórki, twierdzi, że „pieniądz ten pojawia się w pakistańskich strefach plemiennych. Czy może pan mi powiedzieć, komu u licha potrzebne są tam riale saudyjskie? Z Peszawaru (na północy Pakistanu) wysyła się je hawałą do Kabulu i wymienia na dolary. Dolary odlatują następnie na wzgórze, (na których mają swoje kryjówki talibowie), a riale całkiem legalnie, z lotniska w Kabulu, odlatują z powrotem do Dubaju.”

Warto posłuchać, jak gen. Mohammad Asif Dżabbar Chil, odpowiedzialny za bezpieczeństwo lotniska w Kabulu, klnie na prawo zezwalające na wyjazd z kilkoma milionami dolarów w gotówce, pod warunkiem, że się je zadeklaruje. W Dubaju władze jeszcze mniej interesują się pochodzeniem funduszy, odkąd na świecie wybuchł kryzys finansowy. Pewien urzędnik amerykański twierdzi, że w ubiegłym roku z lotniska w Kabulu wywieziono do Zjednoczonych Emiratów Arabskich równowartość 1,75 mld euro. Zdumiewający szczegół: zdaniem Masudiego ogromnej większości tych transferów dokonuje nie więcej niż 10 osób – w większości agentów hawali. Gen. Dżabbar pokazuje nam listę. Zamaszyście

podkreślone nazwiska i nie łąda sumy: równowartość 360 mln euro w 2009 r. w przypadku jednego, 69 mln w przypadku innego...

Nie wszystkie te sumy mają związek z talibami. Niektóre są legalne, inne to część pomocy międzynarodowej zagarnięta przez urzędników, jeszcze inne mają związek z przemytem narkotyków, którym wcale nie zarządzają jedynie powstańcy. Palety z banknotami ładowane do samolotów Ariana Airlines to również symptom trudności, z jakimi boryka się państwo usiłując zapanować nad swoimi finansami. Z tytułu opłat celnych w ubiegłym roku wpłynęła do skarbu państwa zaledwie równowartość 636 mln euro – mogłoby wpłynąć dwukrotnie więcej. Dyrektor urzędu celnego, młody, pełen dobrej woli wiceminister, nie może udać się na niektóre punkty graniczne i zastanawia się, kto ochroniłby go tam przed... policją. Na punkcie Spin Boldak w prowincji Kandahar woli on paternalistyczną ochronę pewnego watażki podejrzewanego o konszachty z talibami...

Autor: Louis Imbert

Tłumaczenie: Zbigniew Marcin Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique](#)

## PRZYPISY

[1] „Addiction, Crime and Insurgency. The Transnational Threat of Afghan Opium”, Unodc.org, październik 2010 r.

[2] Patrz S.S. Shahzad, „Neotalibowie między Pakistanem a Afganistanem”, Le Monde diplomatique – edycja polska, październik 2008 r.

[3] Warlord, Inc. Extortion and Corruption Along the U.S. Supply Chain in Afghanistan, Izba Reprezentantów, Waszyngton, 22 czerwca 2010 r.